

JAROSŁAW
KLONOWSKI

PATRYK
BOGUSZ

KOMARY



*Ostatniemu prawdziwemu artyście, który
dotknął nienazwanego i zapłacił za to
najwyższą cenę.*

Przyjacielowi nienazwanej grozy.

Łukaszowi Gwiżdżowi.

*Spoczywaj w niepokoju, Bracie. Było zaszczytem
Ciebie poznać...*

Konary, sezon 1

Cuda w psychiatriku

Stworzone przez:
Patryka Bogusza i Jarosława
Klonowskiego

Odcinek 1: Wszystkie koty są
szare

Scenariusz i reżyseria:
Jarosław Klonowski

2022, lato

Przywieźli mnie do szpitala o wpół do czwartej rano, karetką przewozową, naszprycowaną, ale jakimś cudem przytomną i, pomimo hektolitrów środka uspokajającego, kontaktującą. Na moje nieszczęście, co muszę tu niestety dodać.

Nie byłam całkiem sama. Jechał ze mną ten pieprzony fiut, mój brat. Maciek. Miał minę, jakbym ukradła mu cały ser z jego biurka Naprawdę Ważnego Gliny w Stołecznej. Pusty wzrok, usta w kreskę. Najlepszy Brat Świata.

W takich rodzinach jak nasza są tylko wpadki, a Maciek był tą pierwszą, starszą i głupszą ode mnie, o całe czternaście lat. Był gliniarzem od kolejnych czternastu i prawdopodobnie to on wpakował mnie w cały ten szpital. Bo mu zawadzałam.

Osiemnastkę kończyłam za cztery miesiące, więc formalnie nadal byłam niepełnoletnia. W zasadzie to tylko on mógł podpisać moje żółte papiery. Pozwolił w ten sposób na moje ubezwłasnowolnienie. Fiut i kutas do dziesiątej (a może czternastej) potęgi.

Był też tak samo żółty jak moje papiery furgon. Wóz wjechał na betonowy parking, wprowadzając okoliczne śmieci w taneczny wir. Był niczym poprzedzany ostrymi halogenami i migoczącymi bladoniebieskimi belkami sygnalizacyjnymi metalowy stwór z dyszącym silnikiem. Zatrzymał się, posyłając wiązkę zimnego światła w stronę zaśmieconej, brudnej i pokrytej graffiti ceglanej ściany. Rick i Morty wpatrywali się we mnie

swoimi przypominającymi piłeczki do ping-ponga, wyciągniętymi żywcem z kreskówki oczami. A może to byli jedynie pielęgniarze?

W trakcie jazdy sanitariusze, wesoły grubas i gołowąs o wyglądzie wstydliwego ministranta, pozwolili mi siedzieć, zamiast przywiązać paskami do noszy, które drgały przy każdym zakręcie. Łaskawi. Tylko że nie byli już tak łaskawi, by nie wlepić we mnie przez cały ten czas tych swoich ślepi.

Tuż po moim wybudzeniu w Koninie i dwudniowej szpitalnej rekonwalescencji z udziałem kroplówki, która miała wypłukać ze mnie resztkę tętniącego w żyłach zamiast krwi gówna, czekało mnie trwające wiele godzin przesłuchanie. A właściwie: kilka przesłuchań. Wozili mnie z komendy na komendę, w samym kitlu, który nawet dobrze nie ukrywał widoku mojej dupy. To się chłopacy napatrzyli... Komenda Stołeczna. Komenda Główna. Komenda Menda. Komenda taka. Komenda siaka. W którymś momencie sanitariusze przypomnieli sobie, że mają w szoferce karetki jakiś stary szlafrok. Dupa przykryta, a szkoda dla nich, bo w sumie... to fajny mam tyłek. Wiem to. Oglądałam się parę razy w lustrze. I porówywałam z tymi z pornosów. Mogłabym w nich grać. Kto wie, czy po tym wszystkim nie będę w sumie musiała.

Zaczęłam trochę trzeźwieć. Podobno płukali mi pierwszej nocy żołądek. Aż cud, że dragi jeszcze

działały. Chociaż czekajcie. Może dali mi potem coś nowego, w szpitalu.

Na ostatniej z kolei komendzie pojawił się Maciek. Brat Roku. Mój wybawiciel. HURRRA!

Komendy to chujowe miejsca. Zwłaszcza gdy spotykasz się tam z twoim zafajdany bratem, z którym łączy was obopólna i podgrzewana latami, wzajemna pogarda. Na twarzy miał wypisane słowa „Ty mendo!”. Ja bym to załatwiła raczej wystawionym środkowym palcem. Szkoda na takiego ćwoka słów. Chyba nawet zdążyłam się po wszystkim uśmiechnąć. Jako manifest i stwierdzenie, że może mi skoczyć. A potem oplułam jego półbuty krwią.

Po drodze było też kilka innych organizacji o zabawnych nazwach. *Kubuś Puchatek, Prosiaczek, Królik i Wszyscy Jego Znajomi, i Krewni. Armia Wyzwolenia. Adwentyści Czasu Ostatecznego. Psychiatryzy i Pediatrzy. Kto lubi pana Tik-Taka? A kto miał gnoja w męskim gangbangu, podlewanym moczem?!*

Trochę przesadzam, wiem. Chyba byłam jeszcze nafaszerowana szpitalnymi dragami i nie wszystko do mnie docierało, gdy mnie tak wozili. Albo też widziałam rzeczy, których nie było. I tak. Wymyśliłam sobie te inne organizacje. I całą tę urynę. Bo w kolejnej karetkce leciała w radiu Ira.

*Bierz mnie, będzie wspaniale
Obsyp mnie złotym deszczem
No dalej – bierz mnie, bo zaraz splonę
Chcę mieć Cię jeszcze raz*

I tak mi się jakoś skojarzyło

Na każdym przesłuchaniu zadawali mi tysiąc pięćset osiemset pytań, i to o to samo. Padały jak z karabinu maszynowego ładowanego żelkami, które miały mnie zmiękczyć, i żyletkami, które miały wywoływać ból. Dobry glina, zły glina. Żelek, żyletka. W sumie chyba nie mogli zdecydować się, czy rozmawiają z ofiarą czy powodem, dzieckiem czy dorosłym. Fanką serialów na Netfliksie czy zwykłą satanistką z morderczymi zapędami i wiecznie łaknącą kutasów piczą.

Żadnego z tych pytań, wsiadając do ambulansu, już właściwie nie pamiętałam. Takie były odkrywcze. Jakie to miało zresztą znaczenie?

Ile? Z kim? Komu? Jak mocno? Ile wzięłam? Co to było? Jak wyglądało? Jak się po tym czułam? Czy bolało? Czy jarało? Czy miałam orgazm? Czy posikałam się przy nim, jak tylko niektóre pornoaktorki potrafią, kiedy są na szczycie szczytowania? Czy będę chciała to powtórzyć? (Tak, najebać się jakimś świństwem, a potem pod jego wpływem zabić po raz drugi swoich biologicznych rodziców w wypadku samochodowym. Sama sobie to zrób i spowoduj, pizdodziwkokurwoszmato, powodzenia i krzyż na drogę). Czy jestem wewnętrznie tak mocno zepsuta, że właśnie to zrobię? (Czyli: czy drugi raz z premedytacją wywołam wypadek, w którym zginą moi nieżywi w wyniku poprzedniego wypadku, biologiczni rodzice).

I najważniejsze. Cemu wróbelek Ćwirek mówi „fuu, fuu”, a nie „ćwir, ćwir”? Pytania egzystencjalne. Wiecie.

A jak się właściwie, kurwa mać, czułam? Czułam się tak, jak powinna się czuć osoba przy poważnym wstrząśnięciu mózgu. Tylko że u mnie wstrząs trwał już dwa dni. Od wypadku samochodowego, w którym zginęli moi rodzice.

Ja prowadziłam. Oni, zwłaszcza ojciec, byli na wpół zamroczeni alkoholem po jakimś randomowym weselu. Ja byłam zamroczona amfetaminą. W pewnym momencie nie zapanowałam nad kierownicą. Do tej pory się zastanawiam, jak bardzo fizycznie bezbolesne to było dla nas wszystkich. Ojciec to był tak napruty, że pewnie nie zauważyłby, jakby mu oderwało rękę przy łokciu.

Nie. To nie powinno być przypuszczenie. Jemu faktycznie coś urwało.

Pierwszą rzeczą, którą zrobił Maciek, gdy na chwilę zostaliśmy sami, było zadanie mi siarczystego policzka i nazwanie szmatą.

Policzek bolał. Mimo naszprycowania, po uderzeniu rozboleła mnie również głowa. W ambulansie odpadłam na chwilę, dziękując Siłom za to, że chociaż na moment oszczędzą mi migreny.

A obelga? Nazwanie mnie szmatą było na tyle codzienne i całodzienne, że mógł to sobie wsadzić w swoją policyjną dupę. Dziękuję, ja też.

Minęło kilka tygodni mojego pobytu w szpitalu. Mój stan wcale się nie polepszył, mimo kilku wywiadów z psychiatrą, łysym palantem, który kompletnie, moim zdaniem, nie rozumiał problemu.

Mijały dni. Pomimo terapii ambulatoryjnej i szoku, który jej towarzyszył, czasami się wybudzałam. Na dziesięć, piętnaście minut. A po nich – kolejny odlot. Urozmaicali moją zabawę, pokazując animowane filmy o uzależnieniach i puszczając słuchowiska, gdzie ten sam doktor Kolano (poznałam chujka po głosie) informował mnie o tym, że jestem tutaj, bo nie nadaję się do życia na wolności. Jestem pieprzonym zagrożeniem, dla siebie. Dla innych w sumie też.

Trzy, albo i więcej razy, podłączali mi jeszcze jakieś elektrody do skroni. Czułam jedynie mrowienie. Dopiero ostatnim razem, trzecim czy czwartym, czy piątym, udało im się wywołać u mnie długo oczekiwane omamy. Z tego, co się później dowiedziałam, był też napad wesołej padaczki. Terapii już nie powtórzono. Ktoś o pół mózgu mądrzejszy od reszty doszedł w końcu do wniosku, że przy wstrząśnieniu mózgu elektrowstrząsy może nie są najlepszym pomysłem. Gratuluję. Tytuł doktora w drodze. Razem z medalem z ziemniaka.

Trwająca bez przerwy terapia ambulatoryjna była za to w dechę. Nie potrzebujesz diler: po prostu odprężasz się i czekasz, co ci podadzą. W dodatku skończyła się u mnie narkolepsja. A, tak, byłam całe życie narkoleptyczką. Przepraszam, że nie powiedziałam. Pewnie przespałam ten moment. Zasypianie w najmniej

przewidzianym momencie i miejscu zawsze działało mi na nerwy.

Zatem mały jebany sukcesik był. ALLELUJA, Wszyscy Święci, jakby powiedziała Dorota.

Dorota? W sensie moja matka, a raczej ta, która nią była, zanim wypłynął jej przez oko przemieniony w galarete mózg.

Niestety, pojawił się skutek uboczny. Amnezja, rodem z książek Philipa K. Dicka. Nie pamiętałam na przykład wielu ostatnich tygodni swojego życia. Albo niemających znaczenia szczegółów z życiorysu, jak... nie wiem, twarze rodziców czy przyjaciół. Doroty. Albo mojej kochanej psiapsi – Agaty. Choć pamiętałam, że Agata była zajebiście urocza i seksowna. Niestety, gdy tylko próbowałam sobie wyobrazić twarz przyjaciółki, zamazywała się, jak jakaś kurwa Agatomorgana.

Tak gwoli wyjaśnienia. Psiapsi to nie to samo co przyjaciółka. Psiapsi to przyjaciółka beściara. BFF. Szkoda, że Agata okazała się taką cholerną gówniarą. Pewnie sama pojechała na ten koncert. The Cure grali w Łodzi. Miałyśmy jechać razem. No, ale podziało się po mojemu. Nawet mnie nie odwiedziła w szpitalu, pinda jedna.

O, takie rzeczy pamiętałam. Twarzy nie pamiętałam, ale o koncercie, tak. O tym popierdolonym szpitalu w Koninie też pamiętałam. I to bardzo wyraźnie. Czy pamięć ludzka nie jest pojebana?

Wracając jednak do mojej tak zwanej amnezji... To, jak sądzę, mógł być kolejny efekt wesołej terapii pigułkami, której mnie poddawano jeszcze w ambulatorium

w Koninie i konsekwentnie kontynuowano w drugim szpitalu, do którego mnie przeniesiono. Jak to nazywał doktor Kojak? Amnezja częściowa. A może krótkotrwała? Hi, hi, nie pamiętałam. On tyle nawijał, takie jabane podawał przykłady. Przykładał się do ich podawania. Snuł opowieści i opowiadał smuty.

A gdyby tak wrócić do mojej pamięciowej wyliczanki? Lubiłam tę zabawę. Takie ćwiczenie mózgu. Bo podejrzewałam, że jeszcze mam tam coś, jakąś jego namiastkę.

Nazwa ośrodka? A po chuj mi była nazwa ośrodka?! Tak jak nie pamiętałam, gdzie byłam, tak nie pamiętałam nazw.

„Postaraj się, zdro” – mówiłam w takich chwilach do siebie w myślach, bo na szczęście jeszcze nie na głos. Aż tak walnięta nie byłam.

Szpital był gdzieś na obrzeżach miasta. No ale reszta? Biała, podeptana głanami wata. Korytarze były tu oświetlone blaskiem świetlówek. Często któraś świetlówka padała, ale najpierw zapalała się i gasła, coraz bardziej przyspieszając. Często słyszałam odgłos małych gumowych kólek, ścigających się po linoleum. Widywałam tu często różne gęby w maseczkach. Tajemniczym białym ninja towarzyszył zapach krochmalu i płynów dezynfekcyjnych. Nie były one jednak w stanie zabić odoru szczyń i krwi.

Wszędzie duchy na korytarzach. *Lot nad kukułczym gniazdem. Kombinac.*

„Tak, to było to. Doigrałaś się, dziewczynko” – pomyślałam. „Trafiłaś do wariatkowa”.

Dość często mnie kłuli. Ukłucie: pyk w żyłę i... robiło się błogo. *My Little Pony* śmigała po suficie. Po chwili pegaz przemieniał się w pieprzonego *Kuca z Bronxu*.

Czyżby to był zakład w Warcie? Trudno mi było powiedzieć. Furgon, którym przyjechałam, miał zaciemnione szyby. No i byłam pod wpływem. A z reszta to nawet nie wiem, jak długo mnie wieźli. Przy wsiadaniu cudem zachowałam przytomność. Trochę pomógł mi w tym policzek Maćka. Ale nie jakoś bardzo.

Domyslałam się, że powinnam zacząć się martwić. Miałam też świadomość, że trochę tu posiedzę. Wspomniałam o książce Keseya. Czytało się ją jak komiks. Zajebiście śmieszna, lepsza od tego filmu z Nicholsonem.

Rzeczywistość już znacznie mniej mnie śmieszyła. Kesey miał rację: to miejsce było jak żywcem wyjęte z narkotycznego horroru. Pieprzona klinika, pełna naprawdę chorych na głowę doktorów. Na pewno źle się tu działo. Wdrażano zapewne nowe sposoby wykorzystywania pacjentów po urazach do jakichś bliżej niesprecyzowanych eksperymentów na ludzkim mózgu. Podejrzewałam, że maczali w tym wszystkim palce wojskowi, siły specjalne czy jakieś inne uzależnione od władz bezpieki Moce. Całe to gówno było ściśle tajne, i to przez zajebiście duże „Ś”. Tak jakby ktoś mnie o to kiedykolwiek zapytał.

W skład kompleksu, a tego jestem pewna, wchodziły liczne laboratoria oraz olbrzymia klinika, zawierająca

najprzeróżniejsze bloki przypominające funkcjonowaniem i budową zakład więzienny. Witamy na Helu. *WELCOME TO HEL.*

Część, w której nas umieszczono, blok C, nazywano potocznie Czyśćcem, głównie ze względu na to, że wsadzało się tu wszystkich tych, co do których nie podjęto jeszcze konkretnych decyzji, czy nadają się na przemiał, czy też można im w główce trochę pogrzebać. Tu zrobić mały przeszczep, tam lekko sypnąć pigułkami, podłączyć pod gniazdko zwoje mózgowe albo naprawić życie w transie hipnotycznym. Najczęściej mieszano wszystkie metody. Podawali nam narkotyki i testowali odporność, razili szare komórki prądem albo traktowali je insuliną.

Tylko... co tu właściwie robił Maciej? Czemu widziałam go praktycznie codziennie? Przewijał się jako pacjent albo pielęgniarz. Jaki był w tym jego własny cel, jakie było jego zadanie czy przeznaczenie? Przecież to był gliniarz, aspirant. Czyżby zwolnili go z pracy, bo miał załamanie nerwowe? A może odwrotnie, dali mu całkowicie nowe „aspiracje”? Trudno mi było uwierzyć, że wszystko, co robił, czynił ze zwykłej dobroci serca. To nie jego styl. Mój brat był gówniarzem. Małym, skupionym na sobie, narcystycznym robakiem. Więc co on tu, kurwa, robił?!

Po raz pierwszy poczułam policzek Maćka tuż przy moim policzku mniej więcej w drugim tygodniu

pobytu. Wybudziło mnie jego wołanie. Wołanie mnie po imieniu.

Ciepły oddech mojego brata połaskotał mnie w ucho. Zimnoniebieski blask bijącego z okna światła karetki przesuwiał się po plecach Macieja, a zaraz potem po mojej twarzy. Spływał niżej, coraz niżej, aż zniknął w zakamarkach pościeli. Potem wracał. I tak na okrągło.

Zerwałam się. Coś tu było nie tak. Skąd to światło koguta?

– Czy to ty mnie wydałeś? – wychrypiałam w jego bladą, pomalowaną przez niebieskie światło twarz. – Podpisałeś papiery, przez które jestem tutaj?!

Nie, zaraz... To nie było tak. To nie było w szpitalu, tylko wcześniej. Tam, wśród nocnej ciszy, ciemności i brudu. Tak, to było tam, na miejscu wypadku. Potłuczone w drobny pył, przypominające piasek szkło, metaliczny zapach krwi, jakaś uwierająca mnie sprężyna, wybity ze stawu łokieć, przez który nie czułam palców prawej ręki... Tam, w tym łokciu, był cały ból. W innych miejscach natomiast absolutny brak bólu, a nawet czucia. W ogóle brak czegokolwiek. Wstrząs mózgu, przez który w ogóle nic nie słyszałam, unieruchomione pod fotelem nogi... Czyżby kręgosłup też mi pogruchotało?

Maciej tam był (dziwne, że dotarł tak szybko z tego swojego Starego Miasta). Wszędzie krew, czułam jej smak w ustach... Ale to ciepły oddech mojego brata odczuwałam najmocniej, to on łaskotał mnie w ucho najbardziej. Był dominującym doznaniem w całym tym

gównie nieczucia niczego. Czy wyjął kutasa i zwałił sobie nad nami konia w ciemności? A może chociaż poszedł między drzewa, wstydząc się ratowników krążących dookoła nas?

Kiedyś nakryłam Maćka przy oglądaniu pornoli. Po dziś dzień miałam przed oczami jego spłoszony wzrok, skierowany na mnie. Bezcenny widok. Był wkurwiony. A ja pewna, że kiedy weszłam, on właśnie szczytował razem z laskami z *Private Video*. Miał kolorowy kalendarz z tymi kurwami. Każda dostała swój własny znak zodiaku. No, pomysł godny geniusza. Horoskop porno.

Prawda jest taka, że na miejscu wypadku Maciej krzyczał, darł japę na cały regulator, ale jego głos nie docierał do mnie, tylko zatrzymywał się gdzieś na zewnątrz. Słyszałam za to wyraźny odgłos bijącego serca. Galopowało wewnątrz mnie. Dorota też darła ryj, choć chwilę wcześniej widziałam jej nieruchomą twarz z oczami śniętej ryby, poruszającą się jedynie dzięki oświeceniu ostrzegawczemu karetki. Chwilę potem, zanim zatrząskiem zamknęli plastikową torbę i wynieśli jej ciało w stronę migoczącej zimnym blaskiem kogutów furgonetki, jedno z oczu Doroty chyba wypłynęło. Po nim został tylko pusty oczodół. I biała plama na asfalcie.

Maciej dyszał. Wciągał łapczywie powietrze. Prawie go nie wypuszczał, jakby nie potrzebował normalnie oddychać, jakby samo pochłanianie tlenu wystarczyło mu do życia.

Czułam pot na udach. Pot i gorąco. Wentylator poruszał powietrzem raz po raz, dmuchając po naszych rozognionych skórach. Słyszałam buczenie z drugiego pokoju. To jedna z dziewczyn zasnęła przed telewizorem, w świetlicy. Światło z odbiornika wpadało na ślepo skurczonym świeceniem przez uchylone drzwi. Dusząco. Pot spływał mi po udach. Potem wypłynęło ze mnie coś jeszcze. Sperma Macieja. Dawno skończył. Sama nie wiem, czemu tak długo zajęło mu opadanie na poduszkę. A może to tylko krew?

A może to embrion, taka maleńka, glutowata ameba, wypłynął ze mnie? Wilgoć. Krew. Glut.

Nie, to nie embrion. To ciepłe robaki Macieja.

Wszystko działo się wolniej. A jeszcze przed chwilą tak się nam śpieszyło. Pościel, ta ciężka, pieprzona kołdra, niemal parowała od gorąca. Kleiła się do piersi, łydek, całego ciała. Zerwałam ją więc, usiadłam, nabrałam w usta powietrza, jakbym się dusiła, jakby zabrali mi cały tlen... Jakby gorące robaki Macieja dławili mnie, dusili, odmawiały mi prawa do życia.

Maciej uważał mnie za wywłokę. Odmawiał mi prawa do życia.

Włożyłam twarz w dłonie. Po chwili coś usłyszałam. Rozszerzyłam więc palce, żeby lepiej widzieć. Ale tu nic. Moment później byłam już prawie spokojna. Poglądziłam Macieja po jego prawie gołej głowie. Natrafiłam

na miejsce, gdzie czaszka była w nienaturalny sposób odkształcona. Drgnąłam. Maciej dotknął mnie opuszkami spoconych palców.

– Co jest? – spytał, a ja spojrzałam w jego spowite ciemnością oblicze. Kształt głowy był dziwny, nienaturalny, lecz obraz rozmywał się na tyle, że nie potrafiłam skupić dobrze wzroku. Czułam jednak narastający strach. Żaden człowiek nie mógł mieć takiej wklęsłej czaszki i normalnie żyć. Nikt normalny, w każdym razie.

„To na zewnątrz to nie koguty ani też inne oświetlenie” – pomyślałam. Tylko rozbłysk pioruna, po którym, zaledwie dwa oddechy potem, nastąpił groźny odgłos gromu. Jak ja nie znosiłam burz. Jeszcze w domu, w Konarach, tak się ich bałam. Na wsi jest inaczej niż w mieście. Kiedy raz zobaczysz, jak płonie po uderzeniu pioruna stodoła sąsiada, to już się tego strachu nie pozbędziesz.

Oczy w twarzy. Jak oczy śniętej ryby, albo chociaż jedno z nich, utopione w kolorze krwi.

Z nieba waliło, jakby uderzyło gdzieś prosto w dach ośrodka.

Ta wklęsłość na głowie Maćka...

Nie, nie Maćka.

Zrozumiałam to, gdy w nagłym rozbłysku spostrzegłam więcej. Miał jedno oko. Ślepe. Wytrzeszczone. Nabiegłe krwią. W drugim oczodole ziała dziura. Czy on był... Dorotą? Nie, ktoś miał jeszcze większe obrażenia. Pół twarzy mu załatwiło. Ojciec? Franciszek Zaborski?

– Położę się – powiedział z tym niewyobrażalnie martwym spojrzeniem, po czym naprawdę się

położył, tuż przy mnie. Jego oddech cuchnął mieszaniną zgnilizny, chleba i smażonej kaszanki. Nie, nie kaszanki. Krwi. Drgnąłam, usiłując się wycofać, na co on wyciągnął rękę i szarpnął mnie. Prześcieradło wkoło leżącego mężczyzny zaczęło nasiąkać krwią. Ciemne plamy wzrastały po obu stronach. Usiłowałam krzyknąć, lecz nie byłam w stanie, jakby znikąd założono mi knebel.

– Zostań – odpowiedział mechanicznie. Przed oczami miałam tylko odkształconą od uderzenia głowę Franciszka Zaborskiego.

Nad nami stało jeszcze kilka takich postaci. Wyglądali jak duchy, od stóp do głów w białych kombinezonach, z maseczkami FFP2. Podnosili ciało, a raczej to, co z niego zostało, żeby umieścić je na noszach. Trup był wykręcony pod nienaturalnym kątem, jakby kręgosłup złożył się w środku pod wpływem uderzenia.

– To boli?

– Nie – odparł stary Zaborski, patrząc jedynym okiem gdzieś w ciemność zamiast na mnie. – Nic mnie już nie boli.

Poczułam, jak uginają się pode mną kolana.

– Ty... Ty zginąłeś w tym... w tym wypadku?

– To nie był wypadek, córeczko.

– Jak to?

– Wierzę ci, że go widziałas. Ja też go widziałem. Na krótko przed uderzeniem. Stał tam. Mężczyzna.

– Tato, kurwa, co ty pierdolisz?!

– Już, już. Ten typ z wąsami, o którym opowiadałaś ratownikom, że go widziałas. Był tam. Ja wiem.

Zrobiło mi się przed oczami ciemno. A potem coś rozbłysło, mocno, jasno, sprawiając, że świat przemienił się we własny negatyw.

– Klaudia.

To nie był głos starego Zaborskiego. To był znowu... On...

– Maciek... – wystękałam, nie poznając własnego głosu. – Słyszysz mnie?

– Słyszę.

Jego obłe paluchy wdzierające się między moje nogi. Każdy naznaczający mnie krwią.

Maciek jako jedyny miał dwoje oczu. Śmiały się do mnie bezczelnie, odbijając migotanie czegoś za mną. Czyżby znowu blask kogutów jakiegoś ambulansu?

– Nie dotykaj mnie... Nie dotykaj mnie... tam! – wykrzyknęłam. – Słyszysz, chuju?

– Uspokój się, Klaudia. U-spo-kój- się!

– Nie. Tym razem będzie inaczej. Już nigdy więcej mnie nie tkniesz.

– Tak? – Maciek spojrzał na mnie oczami Doroty. Pustymi oczami karpia, który czeka na wigilijną wieczerzę, już praktycznie będąc po drugiej stronie. Strużka krwi zaczęła płynąć w dół jej policzka, po którym spłynęło także prawe oko. Zaczęłam się szamotać.

– Nigdy więcej, mówisz? – usłyszałam głos Doroty, ojca, Maćka, wszystkich razem i jeszcze jeden, przebijający przez pozostałe, mniej mi znany. – Ty rozwydrzona wywłoko!

– Kurwa! Zostawcie mnie! Nie pozwolę wam! Nigdy więcej!

– A kto mi zabroni, co?! – rozległ się w moich uszach nowy głos. Męski, niski, nerwowy. Głos kogoś niepewnego, czy w ogóle powinien się odzywać. Po chwili dołączył do niego drugi. Po chwili zabrzmiały razem. Jeden nadal był słaby i jakby matowy, drugi, wzrastający od pomruku, rozbrzmiewał coraz mocniej.

– Kto mi zabroni?! – rozlegał się dudniącym echem. – Nikt mi nigdy nic nie zabronił. Ani mama, ani Franek, ani nawet Maciek. Wszyscy wiedzieli. Ale nic nie zrobili. Nic.

Twarz mojego brata w jednym rozbłysku przemieniła się w inną, zupełnie nijaką twarz mężczyzny z moich koszmarów. Jedynym znakiem szczególnym były na początku gęste, nierówno obcięte wąsiki ponad górną wargą i przerzedzające się nad czołem, przetłuszczone włosy. Dopiero potem pokazał swoją zrośniętą palcami, jakby stopioną pod wpływem poparzenia, prawą rękę.

– Już nigdy więcej, Maciek... - wystękałam.

– Kim jest kurwa Maciek?! – wypluł ku mnie swoje słowa razem z kropelkami śliny. – Aaa, już wiem... Twój brat. Nie. Nie ma go. On cię tu tylko usadził i wyrzucił kluczyk. Wyrzucił jebany kluczyk.

– Nie rozumiem...

Błysk. Grom. Błysk. Burza blisko.

– I nie zrozumiesz – parsknął głośno szaleńczym śmiechem.

– Kurwaaaaaa!

Po wszystkim, kiedy już wychodził, dostrzegłam szerokie, kwadratowe plecy, obciążone za małym

fartuchem pielęgniarza. Przez obcięte rękawy wystawały masywne ramiona.

Ale ja wiedziałam, że to nie był żaden pielęgniarz. To byli oni. Maciek. I ten wąsaty skurwiel. Obaj w jednym, wielorybim cielsku.

Obudziłam się z krzykiem. Znowu przed chwilą mnie brał. Czy tym razem mi się to trochę podobało? *„Ale ze mnie szmata. Maciek miał co do mnie rację”.*

– Spokojnie, to tylko ja, Michał.

Twarz zmieniła się wraz z kolejnym wybuchem jasności za oknem, rysy mężczyzny uległy wyostrzeniu, a podbródek się cofnął. Nawet oczy zmieniły kształt i osadziły mocniej w oczodołach. Znikły guziki brzydkiej koszuli, pokrytej niemodnym wzorkiem, a w ich miejsce pojawiła się sztywna, wykrochmalona tkanina gładkiego, pielęgniarskiego fartucha. Stał przede mną słabej budowy mężczyzna. Byłby pewnie wyższy, gdyby nie garbił się... przez prawie cały czas. No i ten brzuch. Odstający, niepasujący do wątych ramion, zaznaczający się pod materiałem fartucha. Wyglądał... znajomo. Michał sprawiał wrażenie osoby, której nie powinienam się bać. Jego postawa, wzrok, nawet słowa, budziły zaufanie. Przynajmniej w pewnym, ograniczonym, sensie.

– Nie znoszę burzy, nie mogę wtedy spać – powiedziałam.

Nagle odkryłam, że mężczyzna ściska moje ramiona tak mocno, że sprawiało mi to dyskomfort, a właściwie,

to nie do końca uświadomiony ból. Szarpnęłam się lekko, dając do zrozumienia, żeby mnie puścił. Potem wierzgnęłam mocniej. Gestem wzniesionych do góry rąk dał mi znać, że chce się wycofać. Zrobił krok do tyłu.

– Z kim rozmawiałaś? – spytał pośpiesznie, jakby nerwowo. Często tak właśnie się do mnie zwracał. Jakby nie było wolno mu ze mną rozmawiać.

– Nie rozumiem. – Spojrzałam mu prosto w oczy. Miał nijaką twarz i niezbyt zadbany zarost. Nie były to grube wąsy Tamtego, tylko takie ledwo wysypane kocie wąsiki. Tak, znałam tego człowieka. Ale była to znajomość powierzchowna, jak z kimś, z kim spotykam się dwa razy w tygodniu u miejscowego rzeźnika; jak ktoś, kogo mijam na ulicy codziennie, ale nie zamieniam z nim pojedynczego słowa.

– Mówiłaś... do kogoś – burknął.

– Nie mam pojęcia. Chyba się położę – powiedziała na odczepnego, siadając na łóżku, które bardziej przypominało pryczę.

Czułam, że pielęgniarz się poddaje. I miałam rację. Dał mi spokój, wyszedł.

Jak mu w ogóle na imię, temu pielęgniarzowi? Michał? Maciej? Nie, Maciej to mój brat. To może... Może... Marcin? Usiłowałam sobie przypomnieć, leżąc w pozycji embrionalnej. Ciemność raz po raz rozcinały zygzyki bieli. Próbowałam skupić się na imieniu, byleby tylko nie myśleć o burzy. „Przecież powiedział, kurwa, swoje

imię, nie?!”. Zamknęłam oczy, nie byłam w stanie się skupić. Zygzałki zostały zastąpione przez belki migającego światła. Znowu znalazłam się na miejscu wypadku. Znowu był ze mną Maciek. Do jasnej cholery, w jaki sposób dotarł on tam tak szybko?!

Większość ludzi nie wie, jak naprawdę wygląda życie, czym jest i jaki sens skrywa. Jakie jest prawo, które obowiązuje ciebie i mnie. To są motory napędowe tak zwanego pędu życia. Nieliczni, którzy tę prawdę znają, łatwo mogą dzięki własnej wiedzy i doświadczeniu popaść w jakąś częściowo jedynie uświadomioną depresję, a z depresji w całkowity obłęd. To tak, jakby otworzyło się w ich umyśle jakieś takie trzecie oko, pozwalające im zobaczyć głębiej, więcej. Widzą i wiedzą, co było, co jest, a nawet co ich czeka. Widzą sens. I od tego świrują. Sens ten bowiem, ta Prawda, jest ukryta celowo przez innych, mądrzejszych z nas, tych, których wewnętrzne oko świadomości otworzyło się prędeż. A może to wybuch, niewidzialna implozja umysłu? Wszak towarzyszą temu reakcje całkowicie naturalne, jak negacja, zaprzeczanie, paranoja. Burzy się i organizm. Człowiek wymiotuje, napadają go migreny z aurą, głuchnie lub doznaje udaru. Traci mowę czy możliwość ruchu. Popada w katatonię.

Lecz kiedy już ciało przyzwyczai się do szoku, jakim jest Prawda, kiedy odruch przemieni się w pogodzenie,

człowiek zaczyna powoli dojrzewać do myśli, że właśnie rozpoczyna się jego nieuchronne podążanie w stronę Nieskończoności. Umieranie nie ciała, lecz ducha, jego istoty – tego, co może czynić nas szczęśliwymi czy napełniać spokojem. Taki oświecony człowiek zaczyna więc dążyć do samodestrukcji, by czym prędzej ujrzeć całość Prawdy, a nie jedynie jej strzępy.

Jednostka ta nie ma znaczenia. Możliwe jest popełnienie występkę, skazanie kogoś na wieczne potępienie, wydanie osoby ci bliskiej, której jedyną winą jest to, że istnieje między wami więź. W ten, i tylko w ten sposób można dostąpić większego objawienia, zyskać uprzywilejowanie, trafić na wyższy poziom Oświecenia. Taka zdrada nie wymaga dowodów, wystarczy słowo.

Tak właśnie zdradzili mnie moi rodzice.

Tkwiałam tu już drugi tydzień. Wczoraj przenieśli mnie z izolatki i wpakowali do pokoju z osobą, która cały dzień leżała i cicho stękała, oddzielona ode mnie parawanem na kółkach.

Było coś po *Teleexpresie*. W małym, podwieszonym prawie przy suficie, czternastocalowym telewizorze z wypukłym kineskopem leciał jakiś nieznany mi film z młodym Jackiem Nicholsonem w roli głównej. Kto wykupił emisję? Na pewno nie ja. Nie był to Miłoś Forman, ale... Przypadek? Nie sądzę.

– Myślisz, że z tobą skończyłem? – rozległo się nagle zza parawanu.

Męski głos. Sądząc po cieniu, mężczyzna podniósł głowę i znieruchomiał w niewygodnej i dość nienaturalnej pozie. Głos był trudny do rozpoznania; brzmiał tak, jakby jego usta, były wypełnione jedzeniem. Drgnąłam, lecz przez kilka następnych minut nic się nie wydarzyło. Powoli zsunęłam się z łóżka i boso powędrowałam w kierunku parawanu. Cuchnęło stamtąd moczem. Powierzchnia płótna była zauważalnie zabrudzona brązowymi naciekami.

– No, chodź – usłyszałam w głosie nieznajomego delikatne rozbawienie.

Odjechałam parawanem na bok, zamierając. Kurwa. To był on. Mężczyzna z wąsami, leżący na wznak w dwuczęściowej pidżamie w paski. Wyglądał zaskakująco dobrze, choć przez dwa odprute guziki wydostawał się biały, nabrzmiąły brzuch. Włosy przystrzyżone i zalizane na bok, wygładzone i ogolone policzki, wypielegnowane nożyczkami wąsy, zdrowe rumieńce. Oczy przytomne.

Jego ręka wystrzeliła w moim kierunku jak pocisk. Usiłował mnie złapać, jednak nagle w drzwiach stanęła pielęgniarka.

– Proszę dać pacjentowi odpoczywać – rzuciła z pretensją i to chyba do mnie, nie do mężczyzny.

Odwróciłam się w jej kierunku. Była masywną kobietą o grubych rysach i nieprzeniknionym, niezdrażającym żadnych myśli spojrzeniu.

– Ale to... – Wskazałam skinieniem mężczyznę z wąsami.

Kiedy znów na niego spojrzałam, był już zupełnie innym człowiekiem. Obok mnie leżała nieznana mi

kobieta, wpatrująca się we mnie z mieszaniną strachu i fascynacji. Cała jej twarz miała osobliwie łagodny i przepraszający wyraz. Tak jakby utrzymywał ją w jako takiej przytomności wyłącznie instynkt samozachowawczy i poczucie wstydu. Usta poruszały się jak u ryby wyciągniętej z wody. Nie miała oczywiście wąsów. Spod podciągniętej do góry, poplamionej i pomiętej koszuli nocnej wyzierały pieluchomajtki i plastikowy kabel cewnika.

– Nie, tu był... Tu był ktoś inny! – zawołałam, nie panując nad sobą.

– Tylko spokojnie, kochanie – odparła pielęgniarka, pomimo protestów usiłując prowadzić mnie w stronę łóżka. Szarpnęłam się, na co ona jedynie zdwoiła wysiłki.

I wtedy wymierzyłam jej policzek. Mocny, wkurwiony policzek, otwartą ręką.

Pielęgniarka i pomagający jej sanitariusz prowadzili mnie, a tak właściwie to ciągnęli w dół po schodach. Ramiona miałam w kaftanie, więc niewiele mogłam zrobić, co najwyżej szamotać się, krzyczeć i podrzucać nogi do góry. Po przejściu piętro niżej ruszyliśmy korytarzem. Gubiłam raz po raz kroki, a mój opór z każdą chwilą słabł. Stopy klaskały po podłodze, gdy usiłowałam się czasami uwolnić w nagłym przypływie siły. Mijaliśmy kolejne drzwi. Ciemne, jasne, ciemne, jasne, ciemne. Popękane, z pękniętą szybką. Dzwidrzwidrzwi. Dzwirwi. Drzwi. I drzwi.

W jednej z salek za drzwiami dostrzegłam Macieja siedzącego na krześle z twarzą obróconą w stronę korytarza. Rozpoznałam wiązaną z tyłu szpitalną koszulę, którą miał na sobie. Na nieproporcjonalnie dużych nogach nosił podciągnięte prawie pod kolana kraciaste skarpetki. Ktoś stał nad Maćkiem, po jego lewej stronie.

Z całych sił próbowałam się jakoś oprzeć ciągnącym mnie oprawcom, albo chociaż uwolnić na tyle, żeby mieć szansę przez chwilę lepiej się przyjrzeć. Pielęgniarka zacisnęła dłonie na barierce za moimi plecami, jednak tak kurczowo, że zbiełały jej kostki palców.

Obróciłam twarz, szukając wzrokiem brata. Przez setną sekundy udało mi się coś uchwycić. Maciek siedział z obojętną miną na zwykłym stalowym krześle, a wokół niego krążył jeden z sanitariuszy. Stałam jak wryta, przyciskana do ściany cielskiem pielęgniarki. Ogromny karaluch poruszał się po gołej czaszce mojego brata, szukając czółkami drogi.

Zemdlałam.

Dopiero po przebudzeniu zdałam sobie sprawę z tego, że to była tylko zwyczajna... golarka do włosów.

Lecz czy to tłumaczyło tajemniczą obecność Macieja?

W tej izolatce, do której trafiłam, było mi tak duszno... To brak powietrza musiał wywoływać te wszystkie koszmary.

Kobieta pojawiła się drugiej nocy, dawno po wyłączeniu światel, coś około wpół do czwartej. To dziwne,

nikt nie otworzył jej drzwi. Po prostu się zmateriałizowała. Miała na sobie poszarpaną z tyłu, staromodną suknię, z sięgającą długiej szyi skromną krezą. Pośrodku, niczym żuk, migotał, odbijając blask z nieznanego źródła, okrągły czarny kamień naszyty na kołnierzu. Wyglądał... jak karaluch Maćka, tylko taki bez odnóży.

– Ciepło tu – oznajmiła poufałym tonem. – Nie lubię, gdy jest tak ciepło. Zawsze mi się to źle kojarzy.

– Kim pani jest? – spytałam, nie rozumiejąc do końca, co kobieta mówi.

Spojrzałam na nią. Kolejna wariatka urwała się w środku nocy i przyszła mnie dręczyć? Nie, coś było z nią nie tak. Nie chodziło o to, że suknia wisiała na niej jak na szkielecie lub manekinie. Ani o niechlujne włosy, które wydawały się zlepione z głową. Zamiast oczu dostrzegłam w półmroku dwie ziejące, czarne dziury. Choć to ostatnie mogło być ledwie grą światła i cienia, dyktowaną przez moją chorą wyobraźnię.

Najgorszy był smród. Zmieszany zapach potu, cuchnącego jak okrwawione piżmo, i palonych włosów.

– Powiedziałem im, że muszą coś zrobić. Jakoś tu... wywietrzyć – wypowiedziała zmienionym, męskim głosem.

– Wywietrzyć?!

– Nie działa klimatyzacja.

– Klimatyzacja?

Manekin rozplątał się, zamazał, po czym zrósł ponownie. Suknię zastąpiły luźne spodnie z prostymi nogawkami i koszula z obciętymi rękawkami. Kombi-nezon pielęgniarza. Szczupły mężczyzna zamarł i przez chwilę stał niepewny, co zrobić. Otarł policzek. Czułam

bijący od niego słodki zapach potu osoby chorej na cukrzycę.

Znajdowaliśmy się chyba w jakimś przedsionku piekła. Nigdzie w całym tym ośrodku nie było tak koszmarnie gorąco jak tutaj.

– Nie działa klimatyzacja – powtórzył nerwowo, a ja zdałam sobie sprawę, że to Ten sanitariusz na „M”. Marcin? Maciej? Michał. Na pewno spoglądał na mnie z tą swoją cholerną troską w oczach. Był tak miękki. Jego łagodność doprowadzała mnie chwilami do szału.

– Znowu źle zareagowałaś na leki, co? – spytał swoim typowym, współczująco ciepłym głosem, przepraszającym i takim nerwowym. Był jak miękkie kluchy. Drażnił mnie tym w cholerę. Nerwowy jak nastolatek dobierający się do koleżanki. – Nie powinni dawać ci tej psylocybiny. Czytałem, że to lek niesprawdzony klinicznie.

– Czego? – spytałam. – I skąd w ogóle wiesz, co mi dają?!

– Widziałem twoją kartę – odparł, wstydliwie spuszczać wzrok. – Wiem, może się to wydawać dziwne. Ale oni tu używają różnych dziwnych metod. Widzę to na co dzień.

– Dziwnych metod?

– No wiesz, eksperymentalnych.

– No, a gdzie ta kobieta?

– Kobieta?

– W starodawnej sukni.

– Ty też ją widziałaś? – Głos się mu zmienił, stał się czujny. Cała jego sylwetka się zgarbiła. Po pierwszych

słowach nastąpi cisza. Zrozumiałam z miejsca, że coś przede mną chlapnął. Wiedział, że nie powinien tego mówić.

– A kto jeszcze ją widział? – spytałam.

Przez chwilę się namyslał.

– Inni pacjenci – odparł w końcu. Wiedział, że się zagalopował, lecz już było za późno, żeby wycofać swoje słowa. – To pewnie jedna z pacjentek. Z innego bloku. Ustalę to, nie martw się. – Czułam, że to ostatnie zdanie dodał jedynie dla uspokojenia mnie. Krążył po pomieszczeniu, zaglądał to tu, to tam. Czasem się zatrzymywał. Na chwilę, jak jakiś automat.

Po jego wyjściu coś przykuło moją uwagę. Dziwne, że dopiero teraz to zauważyłam. Szum. Wcześniej myślałam, że to deszcz, ale nie. To był szum, o, tu... wewnątrz mojej głowy. Te chujki musiały mi coś wszczepić. A może dawali to w pigułkach? Cholera wie, co było w tej... psychoglobinie, czy jak ją zwał.

Albo mogli mi to dawać nawet w jedzeniu i piciu. Wszędzie czułam zapach tej stęchłej spalenizny.

Znajdujące się poza zasięgiem moich rąk wysoko osadzone okna, a właściwie kwadratowe lufciki, odbijały światła ulicznych lamp, poprzecinane przez pręty krat. Nie wiadomo, co gorsze: kraty wewnątrz, na których pacjent może się powiesić – czy może kraty na zewnątrz, ułatwiające ucieczkę pacjentom z innych oddziałów.

Szkło migotało, mieniając się złotem. Świetliki były zbyt małe, zbyt drobne i odległe; były zaledwie tłem w ciemności, światełkiem na końcu nieprowadzącego

nigdzie tunelu. Mrok krzyczał na mnie z zakamarków wyłożonego gumą pomieszczenia, syczał głosami niewidzialnych węgorzy, mruczał, z oczami wąsatego mężczyzny wlepionymi we mnie. Lśniącymi fosforescencją, która z miejsca przypominała mi blask jakiegoś radioaktywnego odpadu.

Zaczęło się to o wpół do szóstej, całkowicie bez ostrzeżenia. To znaczy nie do końca, ostrzeżenie przyszło, tylko za późno. To były krzyki, czy raczej wrzaski, dochodzące z korytarza.

Światło w izolatkach wyłączano o dwudziestej drugiej, choć w dalszym ciągu widoczna była świetlna kreśka pomiędzy drzwiami i framugą drzwi. Cienki pasek rzeczywistości, który w nieco bardziej deszczowe noce wskazywał, że istnieje jakaś normalność; coś, co urąga przeinaczonym zasadom, przyjętym jako wzorzec przez to okropne miejsce. Żeby nas odciąć od jakiegokolwiek dopływu bodźców innych niż krańcowe przerażenie, zamykali nas przed światem. Już od pierwszej nocy spędzonej w wyizolowanym pomieszczeniu zastanawiałam się, z jakiej racji nam to robią? No bo niby jak to ma pozytywnie wpłynąć na moje postrzeganie rzeczywistości, jeśli na dwie godziny przed północą mój nie do końca, jak sądzę, poskładany do kupy umysł, zostaje wystawiony na pastwę ciemności i atrofii, wypełniając oczy i wyobraźnię wszystkim, co do tej pory miało na mnie jedynie niszczący wpływ? W czym pomoże to,

że moje niezmęczone w żaden sposób fizycznie, leżące przez większość dnia na pryczy ciało, jest zmuszane do snu?

Ale niech i tak będzie. Terapia jest dobra. Terapia nas wszystkich wyzwoli. Naszprycujcie mnie, czym popadnie, a potem wyłączcie światło.

Tuż po pierwszych krzykach doszło do mnie, że na naszym piętrze udało się komuś wzniecić prawdziwe szaleństwo. W ciągu kolejnych minut zrozumiałam także, że nie będę miała szansy uczestniczyć w tej zabawie.

Nagle rozległ się odgłos zwalnianego zabezpieczenia. Ktoś musiał użyć karty dostępu. Chwilę po tym, kiedy usłyszałam bzyczenie, otwierające się na zewnątrz drzwi stanęły dla mnie otworem.

Jak to było w tym kawale? „Przed wejściem na oddział oczekuj na bzykanie”?

Moje wahanie trwało jedynie chwilę. Pędem dopadłam po omacku do drzwi.

Cały blask zjednoczył się w pojedynczym wybuchu, stanowiącym złączenie kilkunastu innych, mniejszych eksplozji. Skry pofrunęły we wszystkie strony tak, jakby w każdej zarówno tkwił uwięziony wcześniej, a teraz uwolniony, pragnący zemsty świetlik. Korytarz wypełniły rozbłyśki, zastąpione po chwili ciemnością, która po nich nastała. Kolejne pęknięcia uwalniały iskry, zasypujące ludzi, odskakujących pod ściany pacjentów i personel osobliwym, świetlnym deszczem.

Co tu się tak naprawdę działo? Nie wiedziałam. Ruszyłam jednak wzdłuż korytarza, obrzucona gradem blasku. Po kilkunastu krokach zamarłam, słysząc echo kobiecego śpiewu. Głos fałszował tak, jakby zdarte struny nie były do końca zdolne do artykułowania słów, a co dopiero śpiewania ich w melodyjny sposób.

Wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi...

Głos, a właściwie coś jakby odległe echo głosu, odbijał się od ścian korytarza. Po chwili zamiast słów doleciał do moich uszu cichy ni to śmiech, ni to szloch. Nie, nie szloch. To był odgłos kogoś, kto zanosi się grzulichym kaszlem i z trudem chwyta powietrze w płuca.

Poczułam swąd spalenizny i zanim zdołałam sobie uświadomić, co to właściwie jest, napotkałam wśród jazgotu i krzyku na jej wzrok. Stałam oko w oko z kobietą... o czarnej skórze. Widziałam to mimo półmroku. Stała w lekkim rozkroku w staromodnej, drapowanej sukni z długimi, koronkowymi rękawami. Włosy potwornej postaci przylegały do zwęglonej głowy, pokrytej zamiast skórą czerwonymi strupami. Palce jednej ręki były zrośnięte na wysokości stawów. Poczułam napływające fale mdłości. Gdy iskry przestały sfruwać z góry, odetchnęłam na chwilę z ulgą.

Kobietę poprzedzał, co zrozumiałam za późno, straszliwy odór. Smród palonych włosów. Stała przede mną dalej już tylko jako cienisty zarys, a ja nie mogłam wykonać ruchu. Lekko się zachwiała i oparła lewe ramię o ścianę tak, jakby była zbyt wycieńczona, aby

ustać o własnych siłach. Spuściła na moment głowę, lecz nagle znowu ją uniosła, prostując przyklejone do ściany plecy. Zniekształcona, pazurzasta ręka z trzema przeorośniętymi nadmiernie palcami wystrzeliła do przodu niczym mierzący w ofiarę hak. Znowu rozbłysł jakiś zagubiony świetlik. W jego blasku dostrzegłam pełne czarnych owrzodzeń guzy na całej powierzchni skóry kobiety. Także jej policzek, a raczej tę jego część, która była dla mnie widoczna w zapalającym się raz po raz świetle, pokrywały chropowate i ropiejące wrzody. Tym razem moje usta wypełniły wymioty.

– Chodź tu do mnie, kurrrrwo! – zawołała. W ostatnim, krótkim błysku jej pokryte przypominającymi strupy naroślami powieki odsłoniły zezowate oczy o bardzo białych tęczęwkach. – To ty nastawiłaś synka przeciw mnie, ty szmato, wywłoko szatańska!

Piękne oczy masz, a jedno o drugim nic nie wie

Nigdy nie widziałam równie okropnych oczu.

Jej ciało wyginało się nienaturalnie. Drżało tak, jakby pod skórą ożywały roje larw. Jakby kości i stawy nie trzymały się kupy, tylko urządziły sobie balangę pod skórą i tkankami, mięśniami, prowokując ciało do ruchu wbrew zasadom zakładanym przez jego naturalną mechanikę.

Wparowałam na ścianę za sobą z impetem, uderzając o nią boleśnie żebrami. Mało nie upadłam na podłogę. Wyplułam to, co miałam w ustach, i zakasłałam sucho.

– Chodźzzzz! – wrzasnęła rozdzierająco.

Pokręciłam głową i runęłam w drugą stronę, odprowadzana chrapliwym śmiechem. Gnałam na oślep. Po drodze zderzyłam się z kimś. Zachwiałam się i prawie zleciałam ze schodów. Cudem przytrzymałam się barierki. Mężczyzna w pielęgniarskim fartuchu coś do mnie zawołał, ale słowa mieszały mi się w niezrozumiały bełkot.

Za to znowu wyraźnie usłyszałam kobiecy głos nujący z oddali:

*Wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi...
Wstańcie, grzesznicy, piekło nadchodzi...*

Prawie przeleciałam po tych schodach.

Na piętrze poniżej trwało jeszcze większe zamieszanie. Ktoś chyba zawołał mnie po imieniu. Przez chwilę usiłowałam ustalić kierunek, skąd dochodził głos. Wreszcie go zobaczyłam. To był mój znajomy sanitariusz, który wraz z dwoma innymi usiłował usadzić na wózku inwalidzkim awanturującą się staruszkę w podejrzenie poplamionym kitlu. Michał (szok sprawił, że przypomniałam sobie znowu jego imię) oderwał się od szamoczącej się kobiety i zamarł, jakby trafił go grom z jasnego nieba. Spoglądał wprost na mnie z mieszaniną niepokoju i fascynacji.

Odwrócił się nerwowo do kolegów i coś do nich powiedział, po czym wycofał się. Spoglądał wrost na mnie. I tylko na mnie.

– Michał, kurwa mać! – zawołał za nim kompan, nieprzyjaźnie wyglądający byk, z szerokimi jak dwa udźce, zarośniętymi ramionami.

– Idźcie, ja muszę ją odprowadzić! – odkrzyknął Michał, podchodząc krokiem napędzanego nieznaną siłą robota. – Klaudia? Co ty tu...

Jego głos stał się w dziwnie senny i łagodny. Tak jakby był w transie, który zastąpił jego normalną nerwowość czymś bardziej niepokojącym. Nieprzyjemnie lepkiem. Jego dwaj dużo lepiej zbudowani towarzysze przez chwilę przetrawiali ostatnie słowa Michała, wlepiając w nas bezmyślnie oczy.

Potem wszystko jakoś zadziało się samo. Staruszka przestała stawiać opór i pozwoliła się poprowadzić. Dwaj sanitariusze zniknęli z nią w windzie, raz po raz tylko oglądając się i pewnie snując między sobą jakieś obłeśne domysły na nasz, mój i sanitariusza Michała, temat.

Mijały kolejne sekundy. Chłopak spoglądał mi prosto w oczy, lecz stał w bezruchu.

– Idziesz czy czekasz, aż tamci wrócą? – zapytał. Jego głos stał się znowu nagły.

– To znaczy?

– No kurwa, idziesz ze mną, czy zostajesz tutaj. Nie będzie drugiej szansy czy następnego szotu. Idziesz, albo zostajesz. I tak dużo dla ciebie zaryzykowałem.

– Serio? Tak... całkowicie na zewnątrz?!

– A jak, kurwa, myślisz?! Masz szansę wydostać się stąd, a zachowujesz się jak ostatnia pizda.

– Ona tu jest.

– Kto niby? – nachmurzył się.

– Spalona kobieta.

Przyjrzał mi się badawczo, zgadując, czy może mi zaufać.

– *Whatever* – rzucił, uznając chyba, że ufać mi nie będzie. – Rób, co chcesz.

– Nie! – spanikowałam, wyciągając szybko ramię w jego kierunku. – Dobra. Chcę. Iść znaczy.

Kiwnął głową.

– Dobra. Więc musimy trochę poudawać. – Wyciągnął ramię w moim kierunku. Spojrzałam na niego, nie rozumiejąc.

– Będę cię dotykał. Podobno tego nie lubisz. Mogę? – Zanim odpowiedziałam, przełożył moje ramię przez swój kark i zaczął prowadzić, raz po raz dodając kojące słowo, aby wzniecić we mnie poczucie zaufania, na które i bez tego mógł liczyć.

Szliśmy wzdłuż zaciemnionego, ożywianego dziwnymi odgłosami korytarza. Wszędzie panowała już tylko ciemność lub półmrok rozrzedzany jedynie latarkami trzymanymi przez zaaferowanych pielęgniarzy patrolujących okolicę, niepewnych, postępujących po omacku, bez jakiegokolwiek planu wobec sytuacji, która ich też całkowicie przerosła. Michał pozdrawiał ich wszystkich, umiejętnie grając swoją rolę odprowadzającego do izolatki przewodnika. Raz po raz rozlegały się okrzyki, odgłosy jazgotu, odległego łoskotu czy innego rumoru. Wszystko wskazywało na to, że nagły brak oświetlenia, czymkolwiek ta awaria była, doprowadził do całkowitego chaosu. Do jego okiełznania przydałaby się armia. Jedynie gdzieś tam zapalone były nocne lampki.

Michał prowadził mnie powoli, pozwalając się uspokoić. Jednocześnie mogłam rozglądać się na boki. Mijałyśmy sale. W jednej z nich kogoś dostrzegłam.

– Zatrzymaj się – poprosiłam Michała i przez chwilę, jak wryta spoglądałam w stronę sali.

Pacjent leżący na łóżku, choć tylko drzemał, robił piorunujące wrażenie. Głowę miał odrutowaną kablami, a mózg praktycznie na wierzchu, pulsujący i szary. Dostrzegłam, że jego ramiona przecinały kaniule połączone z innymi łózkami, innymi pacjentami, już niewidocznymi, znajdującymi się poza obrębem kręgu, gdzie docierało światło. Fałdy na jego głowie raz po raz poruszały się, marszczyły i rozbłyскиwały. Z trudem powstrzymałam wrzask.

– Nie patrz na niego – powiedział pielęgniarz, nagle, abyśmy szli dalej. – To DBS, tak zwany rozrusznik mózgu. Mówiłem ci o tych... ich metodach.

– DBS?

– Głęboka stymulacja mózgu. Facetowi zrobili trepanację, całkowicie bez narkozy. Leczy się tym Parkinsona, ale też zaburzenia depresyjne u tych, którzy źle albo niedostatecznie dobrze reagują na leki.

– No a ci inni?

Spojrzał na mnie intensywnie.

– Jacy znowu, kurwa, inni?!

Po chwili zrozumiałam, co właściwie widzę. Gdy przez fałdy śniącego przebiegał rozbłysk, ci „inni” pacjenci zaczynali wic się w spazmach. Czasami kręcili się tylko, lecz najczęściej wpadali w szal, próbując wyrwać przewody kroplówek. Niestety, ich ciała były przywiązane do metalowych ram łóżka parcianymi pasami. To ostatnie odczytałam raczej z ich ruchów, niż zobaczyłam na własne oczy.

– Chodź – poprosił łagodnie, choć w jego głosie wyczułam groźbę. Zresztą wołałam już więcej nie patrzeć. Ani tym bardziej wdawać się z Michałem w dyskusję.

Gdy dotarliśmy do windy, okazało się, że musiało sięść kilka osobnych faz, a nie tylko ta odpowiedzialna za światło. Tak przynajmniej twierdził Michał. Z zaskoczeniem odkryłam, że czuję ledwie uchwytny swąd spalenizny. Sanitariusz kłął i kilka razy kopnął drzwi urządzenia. Niestety nie zmieniło to faktu, że nic więcej nie mogliśmy zrobić i w zasadzie już w tym momencie wiedzieliśmy jedno. Nasz plan ucieczki się nie powiódł.

Po około minucie zapaliła się część świetlówek. Ciemność ustąpiła, lecz wkoło nas pojawili się również inni sanitariusze. Każdy był gotowy odprowadzić mnie z powrotem do izolatki i dać w gębę Michałowi. Wiedziałam, że zaprzepaściliśmy szansę. Wiedziałam, że teraz oboje tu zostaniemy, w osobnych izolkach, na zawsze rozdzieleni.

Narastający smród palonych kłaków sprawił, że znowu się rozkaszałam.

Kiedy po moim ostatnim wyskoku przyprowadzono mnie na spotkanie z ordynatorem Wejnarskim, znowu byłam świadkiem czegoś podejrzanego. Przestałam już zresztą myśleć, że ot, taki już mój głupi fart. Tu się cały czas działo coś osobliwego.

Doktor Wejnarski miał swój gabinet na trzecim piętrze, w otoczeniu laboratorium i zakładu rentgenowskiego

oraz pokoju pielęgniarek. Mężczyzna wyszedł mi na spotkanie. Z miejsca wyciągnął rękę do przywitania i obdarzył uśmiechem, który, jak sędzę, miał być urzekający, lecz dla mnie? Wydał się jedynie oślizgły. Sanitariusz za mną cicho odkasznął, dając do zrozumienia, że podania ręki ze strony ordynatora się nie odrzuca. Sekundy przeciągały się w nieskończoność.

– Dzień dobry, pani Klaudio – usłyszałam łagodny głos. Zdałam sobie sprawę, że bardziej niż kogokolwiek w całej klinice powinnam bać się właśnie doktora Wejnarskiego. Był niskim mężczyzną z brzuchem, który bezskutecznie usiłował zakryć pod swoją tweedową marynarką. Mało urodziwa, tęga twarz doktora z drugim podbródkiem, małymi, czujnymi oczami ukrytymi w okrągłych okularach z drucianymi oprawkami, przypominała mi jednego ze zwierzęcych bohaterów bajek, chyba borsuka Alfreda, również lekarza. Całe to wrażenie potęgowały zaczesane do tyłu, przedwcześnie szpakowate włosy.

Przeszliśmy do gabinetu. Nie zdążyłam odczytać imienia doktora. Pokój wyłożony był smutną, wypłowiałą tapetą w żółte kwiaty, która znacznie pomniejszała pomieszczenie optycznie, podobnie jak wydeptana ciemna wykładzina. Meble z minionej epoki pokrywał nieco już wytarty lakier. Jedynym ciekawym przedmiotem w tym pomieszczeniu było olbrzymie biurko z ciemnego drewna, z wygodnymi fotelami po obu stronach i laptopem oraz dodatkowym ogromnym monitorem. Okno przykrywała ciemna zasłona, a na biurku paliła się lampa. Zwróciłam uwagę na ścianę pełną śladów

po pozdejmowanych dyplomach, a także na drzwi po lewej stronie. Usłyszałam w głowie jakąś starą rymowanąkę. Kompletnie nie potrafiłam przypomnieć sobie, skąd ją znam.

*Głośno było o Alfredzie
Z sierścią w tonie szaro-burym
Alfred był borsukiem bowiem
I od losu dostał w darze
Zdolność by przywracać zdrowie...*

– To? – Obejrzał się, spostrzegając mój wzrok. – To po poprzedniku. Sam, niestety, nigdy nie miałem zbyt-
niej ochoty, aby wsadzać komuś głowę w tyłek. A to jest konieczne, by zdobywać takie dyplomy. Nie mam zatem takich ambitnych osiągnięć. To chyba wina mo-
jego nieco szorstkiego sposobu bycia. Usiądzie pani?

Wyciągnął szklaną miseczkę wypełnioną landryn-
kami i uśmiechnął się przyjaźnie. Miał drobne zęby, jak
dziecko. Nie dodawało mu to bynajmniej uroku.

– Poczęstuje się pani?

– Od tego typu jedzenia bolą zęby.

Zajęłam miejsce. Mój rozmówca dość obcesowym
gestem ręki odprawił pielęgniarza.

– Do plomby mi się przyklei i narażę was na koszty
ze strony dentysty – dodałam przepraszającym tonem
głosu. Dlaczego tak mi zależało, żeby się usprawiedli-
wić? Nie potrafiłam sobie tego wyjaśnić

Przez chwilę przyglądał mi się beznamiętnie. Za-
częłam się pocić.